

A było to tak: Róża poszła do Józefowej na odrodek, za tę mąkę, co im Józefowa dała na przednówku. Cały dzień w znoju: gęsi pasła, pole pielila, wodę ze studni dla bydelka nosiła. W końcu, przed wieczorem Józefowa Różę zawołała, mleka w cebrzyk nalala, kazała wracać do domu. Idzie Róża drogą, cieszy się z mleka, które do domu przyniesie (bo tam jeszcze dzieciaków wiecznie głodnych czworo było), aż tu drogę zastąpiły jej te wyrostki! Sześcioro. Niewiele starsi od niej: Wojtek, Anieli, Lucek, Olek, Ulka i Grzesiek od soltysa. Zaczęli bić, dokuczać, wyzywać, kamieniami rzucać, przedrzeźniać, a dręczyć. Prosiła, by zostawili ją w spokoju, ale to ich jeszcze bardziej podjudało, próbowała się bronić, ale co jedna dziewczyna może przeciw takiej bandzie? Kamień rozciął jej głowę, upadła, krew popłynęła serdeczna

– A byście się w kamień obrócili, bo serca i tak kamienne macie – krzyknęła i łzami gorzkimi zapłakała. Czy w złą godzinę te słowa wypowiedziała? Czy boska cierpliwość nad nimi się wyczerpała? Wichur się zerwał, nie-wiedzieć-skąd zawiał. Zagrzmiało. Jakby anieli po niebieskim moście beczki toczyli. Przez chwilę ciemność przykryła ziemię. A potem ucichło wszystko... Patrzy Róża: nie ma już złych dzieci. Cicho. Pusto. Tylko skąd się tu wzięły te dziwne kamienie?...

– O Boże, Boże Litościwy! – przeraziła się. Zrozumiała. A od wsi głosy słychać było: to Antkowa woła do domu Anielę,

to Szczepanowa woła do domu Wojtka i Lucka, to Marcinowa woła do domu Ulkę, to stara Jambrożowa woła do domu Olka, to Sołtysowa woła Grześka.

– Boże Litościwy, co im powiem? Jak tym matkom spojrzę w oczy? – szepnęła – Zaklicina. Tak, stara Zaklicina-zielarka ona jedna pomoże... – szepnęła Róża i pobiegła w stronę chaty pod lasem. Słońce zachodziło krwawo ostatnią smugą na niebie.

– Zaklicino, Zaklicino, com ja narobiła, ratuj!

Chalupa Zakliciny jak zawsze jest pełna mroku: od ziół, od lasu ciemnego, od małych okien wiecznie zadymionych.

– Ty, jak ty, Różo. Ty jak ty. Nic się na świecie nie dzieje bez boskiego wyroku. – Stara Zaklicina, na krzywym stołeczku-trójnogu u ognia siedzi, gałązki chrustu pod kuchnię podkłada, blask z paleniska jej siwe włosy pozłaca.

– Ale oni tam... Ale matki.... Jak ja im Zaklicino w oczy spojrzę? Co im powiem?... Musi być jakaś rada

Dziewczyna uklękła przed starą, nogi jej obejmuje, w oczy błagalnie patrzy:

– Musi być jakaś rada. Ratuj babko Zaklicino, ratuj

– Rada jest jedna: miłosierdzie boże, lecz żeby je ubłagać trzeba pościć i nie pić, bez wody, bez jedzenia, po Żywą Wodę na koniec świata pójść, pokutę odprawić.

Zaklicina swymi zimnymi, aksamitnymi rękami (takie ręce mają tylko bardzo starzy, bardzo dobrzy ludzie) gładzi włosy Róży, gładzi jej policzki

– Nie na ciebie ta droga, Maleńka, nie na twoje siły

– Ale tam matki, Zaklicino, matki przeze mnie, przez moje słowa w gniewie powiedziane, płaczą. Jak-gdzie szukać Żywej Wody? Dokąd-w którą stronę?

– Idź prosto, brzegiem pradoliny Wisły. Idź jak fale płyną. Musisz przejść przez lasy. Musisz przejść przez bagna. Przez rzeki, co zastąpią ci drogę. Przez topieliska. Wśród ludzi złych i dobrych, hojnych i chciwych. Hen, hen, zobaczysz krainę całą w kwiatach wiśni. A w tej krainie, na wysokiej skarpie – zamek o trzech wysokich wieżach: dwóch okrągłych i jednej kanciastej. W zamku, na dziedzińcu, tam gdzie się cykoria niebiesci w trawie jest zagłębienie i starożytne ruiny. Tam kiedyś kościół stał, kościół, co się ze starości w ziemię zapadł. Raz do roku, w jedynej godzinie, z ołtarza, spod ziemi, źródło bije. Jeden człowiek tylko, w tej jedynej godzinie wody nabrać może – choć zawsze chce wielu – człowiek o sercu czystym, w Boga zapatrzony. Jemu jednemu, jednemu woda staje się Wodą Żywą: umarłym życie przywraca, chorym zdrowie, zrozpaczonym spokój.

Ileż dni minęło, odkąd poszła w drogę, ileż nocy? Nogi poranione, twarz spalona słońcem, z sukienki zostały lachmany. Przeszła

przez bagna zdradliwe, przez topiele Topielic pełne, przez lasy, w których siedzą okrutni zbójcy. W niejednej wsi psami ją szczuli. W niejednej wsi chlebem chcieli częstować, a ona, choć wychudła z głodu, musiała odmawiać. Nic nie jadła, nic nie piła. Palilo ją wewnątrz, oczy mgłą zachodziły. I tak w męce i bólu nieludzkim stanęła na dziedzińcu zamku o trzech wieżach. Rozpościerał się stąd widok cudny na całą dolinę ciemnozieloną, ubraną w welon kwiatów białych, wiśniowych, a w dali skrzyła się błękitem i srebrem Rzeka. I wtedy zobaczyła chłopca. Nadchodził. Wspinał się skarpą. Chyba był w jej wieku: miał może z dziesięć, może z dwanaście lat. Chudy i drobny. O brązowych włosach opadających do połowy pleców. O skupionej, ponad wiek zamysłonej twarzy. O mądrych, szarych oczach.

– Czy to tu jest zamek, zamek o trzech wieżach? Czy to tu bije źródło Żywej Wody?

Skinęła głową.

– Nareszcie – odpowiedział, odwrócił się w stronę doliny i usiadł koło Róży.

– Więc ty też przyszedłeś po Żywą Wodę? – spytała. Spojrzał na nią przez chwilę uważnie

– Tak. Przyszedłem. Dla mojego dziadka-nie-dziadka Franciszka. Widzisz, on mnie przygarnął, wychował, a teraz... Ale ty tu też przyszłaś. Z daleka. To widać.

– Opowiedz mi swoją historię – poprosiła, siadając obok chłopca.